

## **„JUZISTKI” KOBIECY PERSONEL POMOCNICZY W LATACH 1927-1936**



Kurs przeznaczony dla personelu pomocniczego czyli tzw. Juzistek zorganizowały wspólnie: Ministerstwo Spraw Wojskowych i Ministerstwo Poczty i Telegrafów. Czas jego trwania określono na 10 miesięcy i podzielono na 4 okresy szkoleniowe, a mianowicie:

- okres I- 8-tygodniowy, eliminacyjny, w którym uczestniczki podlegały weryfikacji, co do uzdolnień oraz możliwości percepcyjnych, zapewniających pomyślne jego ukończenie;
- okres II- 12-tygodniowy, zapewniający przede wszystkim przygotowanie teoretyczne;
- okres III- 12-tygodniowy, obejmujący głównie naukę umiejętności praktycznych;
- okres IV- 10-tygodniowy, podczas którego doskonalono się w zakresie obsługi sprzętu oraz prowadzenia korespondencji telegraficznej i telefonicznej.

Aby móc przystąpić do egzaminu wstępnego należało złożyć podanie przez szefa (dowódcę) wojsk łączności do ministra spraw wojskowych. Pewną pulę miejsc zarezerwowało dla siebie Ministerstwo Poczty i Telegrafów, stąd też część kandydatek próśby składała do kierownictwa tego resortu.

Kwalifikacje przeprowadzano w kilku etapach. Pierwszy polegał na wstępnej weryfikacji. Odrzucano tu przede wszystkim osoby, które nie spełniały podstawowych warunków. W trakcie drugiego dokonywano badań lekarskich i oceniano sprawność fizyczną. Trzeci etap polegał na badaniu sprawności rąk. Po ich pomyślnym przejściu, przystępowano do sprawdzania posiadanej wiedzy ogólnej z języka polskiego, geografii ogólnej i Polski, historii polski, nauki o Polsce współczesnej, matematyki i fizyki. Zadawane pytania oceniano

jako trudne. Każda z kandydatek musiała posiadać szeroki zakres wiedzy, zwłaszcza że konkurencja była bardzo duża, a przyjmowano zaledwie 40-42 osoby.

Podczas trwania szkolenia uczestniczki podlegały kilkukrotnemu sprawdzeniu wiadomości w postaci tzw. repetycji okresowych i na zakończenie egzaminowi z przedmiotów specjalistycznych. Po pomyślnym ukończeniu kursu uczestniczki otrzymywały skierowania do pracy w konkretnym urzędzie pocztowym. Tylko pojedyncze osoby kierowa no do pracy w sztabach oddziałów lub związków taktycznych.

Kurs pomocniczego personelu kobiecego bezpośrednio podlegał komendantowi ośrodka. Jego kadre dowódczą stanowiły także kobiety, kierowane przez I wiceministra spraw wojskowych. Pierwszą komendantką była Wanda Giertz, którą na tym stanowisku zastąpiła w 1930 r. Elżbieta Gliwicz-Daniłowska. Do pomocy miały one szefową kursu, która prowadziła też zajęcia z wychowania fizycznego i zapewne z tego powodu wyznaczał ją dyrektor Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego.

Szkolenie zwykle zaczynało się w październiku, a kończyło w drugiej połowie sierpnia roku następnego. Przed rozpoczęciem nauki słuchaczki miały obowiązek złożyć pisemną deklarację, w której oświadczały, że po jej zakończeniu co najmniej przez 3 lata będą pracowały w służbie państwowej, a z chwilą ogłoszenia mobilizacji natychmiast zgłoszą się do dyspozycji szefa łączności Naczelnego Dowództwa WP. W przypadku, gdyby nie podporządkowały się tym wymaganiom, musiały zwrócić koszty poniesione na ich edukację.

Warunki, które musiały spełniać kandydatki, aby mogły ubiegać się o przyjęcie były następujące:

- ukończone 19 lat i nie przekroczone 25 lat;
- ukończone co najmniej 6 klas szkoły średniej;
- obywatelstwo polskie
- ukończone przysposobienie ogólnowojskowe;
- bardzo dobre zdrowie, a zwłaszcza brak upośledzenia wzroku i słuchu, poprawna wymowa i odpowiednia długość palców u rąk;

Oprócz tego, ministerstwa ustaliły listę preferencji. Spełnienie jednego z punktów powodowało zwiększenie szans przyjęcia na kurs. Dotyczyło to osób, które były:

- sierotami po żołnierzach WP, poległych lub zmarłych w wyniku pełnienia obowiązków służbowych;
- córkami inwalidów;
- córkami żołnierzy zawodowych WP lub sierotami pozostającymi pod ich prawną opieką;
- sierotami po urzędnikach państwowych;

- sierotami po obywatelach polskich, którzy byli ofiarami wojny;
- córkami urzędników państwowych.

Kurs „Juzistek” miał ogromną popularność w wielu środowiskach Polski. Sądzić należy, że przyczyniły się do tego warunki, które zaoferowano w Zegrzu. Otóż każda ze słuchaczek otrzymywała uposażenie w wysokości 50 zł miesięcznie, bezpłatne umundurowanie i zakwaterowanie, ryczałt na zakup pomocy szkolnych, bezpłatną opiekę lekarską, 4-tygodniowy urlop płatny po ukończeniu kursu i 50% zniżkę przy przejazdach III klasą kolei państwowych. Dla większości uczestniczek, wywodzących się z rodzin niezbyt zamożnych lub będących sierotami, wymienione przywileje miały ogromne znaczenie. Kształcenie nie obciążało budżetów ich rodzin czy opiekunów.

W czasie szkolenia słuchaczki opanowywały wiedzę i umiejętności z 22 przedmiotów, na które przeznaczono łącznie 1680 godzin. W zdecydowanej większości były to przedmioty specjalistyczne. Obok takich jak: nauka o elektryczności, encyklopedia teletechniki, regulamin służby ruchu telegraficznego, które w zasadzie nie różniły się pod względem stopnia trudności od wykładanych w trakcie innych kursów i już tu omawianych, pojawiły się nowe, właściwe dla szkolenia juzistek. Należały do nich: ćwiczenia w telegrafowaniu aparatami juza oraz korespondencja juzem, stukawką i morsem na sieci szkolnej; ćwiczenia na aparatach Morse'a; ćwiczenia w telegrafowaniu stukawkami; poczta i administracja; państwowy regulamin służby ruchu telegraficznego i telefonicznego, krajowy i międzynarodowy.

Zdecydowanie najwięcej, ponieważ aż 33% ogółu godzin, przeznaczono na praktyczną pracę na urządzeniach. Nauka telegrafowania podzielona została na cztery etapy. W ciągu pierwszego, trwającego 5 miesięcy, ćwiczone obsługę praktyczną aparatu juza. W drugim, jednomiesięcznym, trenowano synchronizowanie aparatów juza, przesyłanie telegramów o treści różnojęzycznej i szyfrowej, przy czym słuchaczki musiały już stosować regulamin służby ruchu. W etapie trzecim, w siódmym i ósmym miesiącu nauki, ćwiczone przesyłanie telegramów o treści różnojęzycznej i zaszyfrowanej, zawierających od 400 do 600 słów. W czwartym, trwającym miesiąc, dalej wprawiano się w przesyłaniu telegramów, a ponadto podejmowano pierwsze próby pracy na stacji juza, morse'a i stukawkowej, początkowo w wewnętrznej sieci szkolenia, każdego dnia w grupach liczących 20 osób, słuchaczki wyjeżdżały na praktykę do Głównego Urzędu Telegraficznego do Warszawy.

Celem szkolenia w pracy na aparatach Morse'a było opanowanie i biegle nadawanie od 60 do 90 znaków na minutę, natomiast ćwiczeń w telegrafowaniu stukawkami- przesyłanie telegramów na słuch, w tempie od 60 do 100 liter na minutę.

Przedmiot poczta i administracja, realizowany w wymiarze 200 godzin, rozpoczynał się zajęciami nt. dziejów poczty światowej i polskiej. W dalszej kolejności przechodzono do omawiania problemów związanych bezpośrednio z funkcjonowaniem tej instytucji. I tak nauczano m.in. kwestii dotyczących przesyłek pocztowych, warunków ich przyjmowania, przechowywania, przesyłania i doręczania. Następnie nauczano zasad działania zleceń pocztowych, listów wartościowych i paczek. Prowadzono też zajęcia na temat prenumeraty prasy, procedury związanej z ekspediowaniem różnego rodzaju przesyłek, a także prawnych zasad funkcjonowania poczty.

W ramach regulaminu służby ruchu telegraficznego dokładnie poznawano przepisy korespondencji w wymianie krajowej i zagranicznej. Uwagę słuchaczek zwracano na przestrzeganie zasad tajemnicy treści zawartych w przekazach telegraficznych i rozmowach telefonicznych, znajomość konwencji międzynarodowych i odpowiedzialności poczty za tę korespondencję.

Pozostałe przedmioty z grupy ogólnokształcących i ogólnowojskowych były w zdecydowanej mniejszości. Chodziło o pracę kulturalno-oświatową, w której dominowały zajęcia z historii i geografii Polski oraz języki obce, których poznanie było potrzebne do bezbłędnego nadawania tekstów telegramów po niemiecku, francusku i rosyjsku.

Uwagę zwracano także na wychowanie fizyczne i sporty. Odmienne niż to miało miejsce np. podczas kursów podoficerskich, w programie wymieniono konkretną ilość godzin oraz realizowaną tematykę. Był on niezwykle bogaty w różnego rodzaju ćwiczenia gimnastyczne, gry sportowe, a także uczył organizowania wycieczek turystycznych. Obok praktyki, prowadzono zajęcia teoretyczne, których tematyka obejmowała wiadomości z metodyki nauczania wychowania fizycznego, a szczególnie: jak prowadzić trening, zaprawę, jak instruować, dostosowywać ćwiczenia do wieku ćwiczących i jak poprawiać błędy występujące w trakcie ich wykonywania.

Oceniając program nauki oraz treści występujących w nim przedmiotów należy stwierdzić, że spełniał on oczekiwania zarówno samych uczestniczek, jak również ich przyszłych pracodawców. Był to niewątpliwie jeden z najstabilniejszych programów szkoleń, odbywających się w zegrzyńskim ośrodku.

Zgodnie z wytycznymi, na kurs w większości były przyjmowane kandydatki wywodzące się z rodzin niezbyt zamożnych. Główne motywy, które skłaniały do

uczestniczenia w kursie były przede wszystkim natury ekonomicznej i rodzinnej, a mianowicie: ciężkie warunki materialne, zmuszające do rezygnacji z kontynuowania nauki w szkołach publicznych, brak wolnych miejsc pracy, chęć pomocy materialnej rodzinie, względnie młodszemu rodzeństwu oraz możliwość uzyskania stałego zatrudnienia po ukończeniu kursu. Jednak generalnie na kurs wstępowały osoby, którym brak środków materialnych, wynikający z różnych przyczyn, nie zapewniał godnej egzystencji. W wielu przypadkach chodziło też o rodzeństwo pozostające na utrzymaniu tych młodych kobiet. Zatem podjęcie nauki w Zegrzu było jedną z niewielu szans na poprawę swojego bytu.

Kurs kobiecego personelu pomocniczego był niewątpliwie ewenementem w szkolnictwie wojskowym II Rzeczypospolitej, ale też łączność, jak żaden inny rodzaj wojsk, nadawała się do tych działań. Kobiety mogły zajmować w niej różne stanowiska tak w czasie pokoju, jak również wojny. W Zegrzu zostały dość gruntownie przygotowane w zakresie prowadzenia łączności telegraficznej i telefonicznej- cywilnej i wojskowej. Zasiliły kadry urzędów pocztowych w całej Polsce. Ważnym aspektem tej kwestii, który należy podkreślić, to pomoc udzielana w ten sposób uczestniczkom, w dużej liczbie przypadków sierotom po poległych żołnierzach, córkom urzędników państwowych. Popularność tego kursu przerosła oczekiwania jego organizatorów.



*Juzistki podczas kursu w Centrum Wyszokolenia Łączności w Zegrzu*

Kursy, podczas których szkolono podoficerów zawodowych oraz kobiecego personel pomocniczy, prowadzono w Zegrzu przez 18 lat, od 1921 do 1939 roku. W tym czasie

zorganizowano 63 różnego rodzaju szkolenia, których absolwentami zostało 2927 żołnierzy zawodowych.

**PROGRAM KURSU DLA KOBIECEGO PERSONELU POMOCNICZEGO  
„JUZISTEK” W ZEGRZU W LATACH 1927-1936**

| <b>PRZEDMIOT</b>  | <b>ILOŚĆ GODZIN</b> |
|---|---------------------|
| 1. Ćwiczenia w telegrafowaniu aparatami juza oraz korespondencja juzowska o Morse'a na sieci szkolnej | 540                 |
| 2. Ćwiczenia w telegrafowaniu aparatami morzowskimi   | 100                 |
| 3. Ćwiczenia w telegrafowaniu stukawkami/korespondencja na słuch                                      | 150                 |
| 4. Nauka o aparatach telegraficznych i stacyjnych urządzeniach telegraficznych                        | 100                 |
| 5. Nauka o elektryczności   | 60                  |
| 6. Encyklopedia techniki  | 30                  |
| 7. Regulamin służby ruchu telegraficznego i telefonicznego wojskowego                                 | 50                  |
| 8. Poczta i administracja   | 200                 |
| 9. Państwowy regulamin służby ruchu telegraficznego i telefonicznego krajowy i zagraniczny            | 90                  |
| 10. Organizacja armii   | 10                  |
| 11. Terenoznawstwo  | 15                  |
| 12. Wyszkołenie strzeleckie   | 20                  |
| 13. Służba wewnętrzna   | 10                  |
| 14. Higiena i ratownictwo   | 15                  |
| 15. Obrona przeciwgazowa i przeciwlotnicza  | 15                  |
| 16. Nauka języków (francuski, niemiecki, rosyjski)  | 60                  |

|                                   |             |
|-----------------------------------|-------------|
| 17. Praca kulturalno-oświatowa    | 20          |
| 18. Gospodarka sprzętem łączności | 10          |
| 19. Wychowanie fizyczne i sporty  | 140         |
| 20. Ćwiczenia polowe              | 45          |
| <b>RAZEM</b>                      | <b>1680</b> |

### **Fragment ze wspomnień juczistki Elżbiety Szuca-Marcinkowskiej:**

Emerytowana nauczycielka, była pracownica Poczty Polskiej w Gdańsku w latach 1936–1939, juczistka, harcerka, członkini ZWZ AK, więźniarka Stutthofu, żona, matka, babcia... Tak wiele treści, tak wiele przeżyć i tak wiele ciężkich doświadczeń nie złamało jednak tej, ponad 90-letniej dziś, drobnej, ale energicznej, dystygowanej, ciepłej i czarującej osoby.

Swoją opowieść zaczyna od domu rodzinnego pod Hławą, gdzie mieszkała w dużym majątku ziemskim z rodzicami, czterema siostrami i dwoma braćmi (była najmłodsza). Dom wspomina, jako ciepłą przystań, dającą poczucie bezpieczeństwa i wpajającą solidne podstawy do dorosłego życia. To właśnie tu nauczyła się, co znaczą słowa Polska, patriotyzm, wiara w Boga, rodzina, duma narodowa i silna wola zmagania się z przeciwnościami. Mając 14 lat, wyjechała do szkoły, do Torunia - to był pierwszy dłuższy pobyt poza rodzinnym domem i pierwsze doświadczenia w kierunku samodzielności. Potem było Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Toruniu, które ukończyła w 1934 roku. Niestety, jako nauczycielka nie mogła znaleźć pracy, nawet po bezpłatnej, rocznej praktyce w jednej z wiejskich szkół na Pomorzu. Miała dwa wyjścia: pojechać na Podlasie, bo tam podobno była praca dla nauczycieli lub szukać innego zawodu.

Związanie z rodziną sprawiło, że zdecydowała się pozostać na Pomorzu. W 1935 roku moja siostra Klara i szwagier mieszkali w Gdyni i pracowali na polskiej poczcie. Właściwie to oni załatwili mi pracę telefonistki na polskiej poczcie w Gdyni – wspomina Elżbieta Szuca- Marcinkowska. – I choć była to bardzo nowoczesna centrala, to jednak praca sama w sobie nie była spełnieniem moich marzeń. Chciałam pracy twórczej, miałam głowę pełną ideałów, a tu musiałam prawie mechanicznie łączyć rozmowy telefoniczne, siedząc przy centralce. Moi przełożeni dostrzegli chyba moje dylematy, bo w 1935 roku jako jedną z trzech wysłali mnie na kurs telegraficzny w Centrum Wykształcenia Łączności w Zegrzu. Najpierw były egzaminy w Warszawie, gdzie spośród

300 kandydatek na kurs przyjęto zaledwie 35, w tym wszystkie pracownice z Gdyni. Tu uczyła się obsługiwać nowoczesne maszyny telegraficzne, takie jak aparaty juza. Stała się więc juzistką. Po 10 miesiącach życia w koszarach, chodzenia w mundurze, stawiania się na apelach i musztrach, Elżbieta Szuca-Marcinkowska ukończyła w 1936 roku Centrum Wykształcenia Łączności. Jednak pomimo wojskowego rygoru i regulaminu, bardzo mile wspomina ten okres, bo były to czasy nauki, ale również młodszej radości życia. Po kursie i krótkim urlopie otrzymała rozkaz wyjazdu do Gdańska.

Wojsko zatrudniało 50 procent kursantów, a pozostałych zatrudniało Ministerstwo Telegrafu – dodaje Elżbieta Szuca-Marcinkowska. – Okazało się, że w poczcie polskiej Gdańsku przy pl. Heweliusza były dwa wolne miejsca i razem z koleżanką z kursu zdecydowałyśmy się na nie. Miałam 21 lat, ale już wtedy wiedziałam, że w Gdańsku nie będzie mi lekko. To była bardzo odpowiedzialna praca, szczególnie w takiej placówce, jaką była poczta polska w Gdańsku. Do końca grudnia 1936 roku miałyśmy się zameldować w nowym miejscu pracy. Niestety, spóźniłyśmy się na umówioną godzinę spotkania i zaraz na początku pan naczelnik wypomniał nam nasze zachowanie. Mówił, jaka czeka nas praca, że to bardzo odpowiedzialne zajęcie i prestiżowa, bardzo ważna dla Polski placówka, że obowiązuje nas dyscyplina, że musimy dobrze pracować, musimy być uczciwe i musimy być prawdziwymi patriotkami.

Na początku wynajęła pokój u niemieckiej rodziny, potem – razem z koleżanką – kolejną stancję, również u Niemców. Kiedy w maju 1937 roku z okazji święta narodowego wywiesiły polską flagę, właściciele wypowiedzieli im mieszkanie. Pod koniec roku wynajęły więc trzypokojowe mieszkanie, niedaleko dworca gdańskiego. Właścicielom nie przeszkadzało, że są Polkami i patriotkami. Mieszkały tam do samego końca – do października 1939 roku.

Praca na poczcie była czterozmianowa, co czwarty dzień przypadał dyżur nocny. Elżbieta Szuca-Marcinkowska obsługiwała na zmianę dwie juzy i morsa. Przyjmowała i nadawała telegramy, często szyfrowane. Lubiła tę pracę i bardzo polubiła ludzi, którzy tam pracowali. Z wieloma się zaprzyjaźniła. Jej głównym przełożonym był naczelnik Józef Wąsik, ciepły człowiek i sprawiedliwy szef. Dyrektorem był wówczas Jan Michoń, ale nie widywała go zbyt często. Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny przyszedł pan Wąsik i przedstawił nam Konrada Guderskiego, jako nowego pracownika z Warszawy, który będzie mi pomagał i czasem mnie zastępował – mówi Elżbieta Szuca-Marcinkowska. Miałam go



traktować jak przełożonego i wykonywać jego polecenia. W rzeczywistości miał przecież kierować obroną placówki. Podczas nocnych dyżurów trzeba było również obsłużyć centralę telefoniczną. Którejś nocy przyszedł pan Konrad Guderski i zapytał mnie, czy mam może przygotowanie sanitarne. Byłam harcerką, potem na kursie miałam przysposobienie wojskowe, więc mogłam być sanitariuszką. Zapytał też, czy widok krwi by mnie zdenerwował i powiedział, że w razie czego, żeby ustawiać się tak, aby nie być w świetle okna i chronić się za grubymi ścianami. W ten sposób próbował mnie przygotowywać na to, co miało wkrótce nastąpić. Kiedy jeździłam z wizytami do Klary do Gdyni, już mówiło się, że będzie wojna. Zdawałam sobie sprawę, że nadchodzi ciężkie czasy. Kiedyś przyszło polecenie, aby wszystkie rodziny pocztowców wyjechały z Gdańska, dla bezpieczeństwa. Tak wyjechała rodzina pana Alfonsa Flisykowskiego, który mieszkał na poczcie i rodzice moich przyjaciół, pań 31 sierpnia 1939 roku Elżbieta Szuca-Marcinkowska miała dyżur do godziny 20.00, jej przyjaciółka do 21.00. Po nich telegraf objął Bernard Binnebesel.

Od kilku dni w mieszkaniu wynajmowanym przez przyjaciółki nocowało również rodzeństwo Wielochów, Julia i Antoni. O godzinie 4.45 usłyszeli warkot samolotów, huk dział i strzały karabinów. W radio podawano komunikat o wybuchu wojny. Z trwogą myśleliśmy, co dalej. Koleżanka zaczynała swój dyżur o 8.00 rano, więc powiedziałam jej, że sama nie pójdzie – wspomina Elżbieta Szuca-Marcinkowska. Przed 8.00 wybrałyśmy się do urzędu. Przeszłyśmy jedną ulicę, usłyszałyśmy strzały i zobaczyłyśmy szlabany. Ktoś powiedział, że do poczty nie ma dojścia. Widziałyśmy dym w oddali, tam gdzie była poczta. Wróciłyśmy do domu. Około południa przysłała po nas policja. Wylegitymowali nas i zabrali moją przyjaciółkę, mnie i Antoniego Wielocha, bo też był pocztowcem. Jego siostra Julia została, ponieważ miała gdański paszport i pracowała w niemieckiej firmie. Zabrali nas do rewiru przy dworcu. Tam czekaliśmy kilka godzin, a potem zaprowadzili nas do Wiktoriaschule, gdzie zbierali aresztowanych Polaków. Obraz był straszny: zakrwawieni, zbici, maltretowani Polacy, krzyczący z bólu, stłoczeni w jednej sali. Trzymano nas tam do wieczora. Zabrano nam wszystkie dokumenty, ale kobiety wypuszczono do domu. Kolega, którego z nami zabrano, został i ślad po nim zaginął do końca wojny.

W domu przyjaciółki postanowiły jeszcze kilka dni poczekać, a potem, mimo braku dokumentów, ruszyć do swoich rodzin poza Gdańskiem. Wieści o poczcie na pl. Heweliusza były straszne. Potajemnie dowiedziały się, że ich koledzy i przyjaciele z nocnej zmiany zginęli na miejscu lub w wyniku poparzeń i ran, a pozostałych rozstrzelano po farsie sfingowanego procesu.

Już w październiku udało się Elżbiecie Szucy-Marcinkowskiej otrzymać przepustkę i wyruszyć do Gdyni, do siostry Klary. Jej przyjaciółka również powędrowała do swojej rodziny, nie widziały się aż do końca wojny. Po kilku tygodniach pani Elżbieta wyjechała do rodziców pod Iławę, tam spędziła kilka miesięcy, chorowała, pracowała, pomagała rodzinie. W końcu dostała nakaz wyjazdu na roboty rolne – szczęśliwie niedaleko rodzinnych stron. Pracowała przy drobiu u dobrej i porządnej niemieckiej rodziny, która dbała i troszczyła się o swoich robotników.

Byłam młoda i nie chciałam się czuć zniewolona, ciągle mnie gnało, by wrócić na Pomorze i coś robić dla Polski – dodaje pani Elżbieta. – Z pomocą brata lekarza udało mi się uzyskać zwolnienie z robót i wyjechać do Gdyni w 1941 roku. Tam po jakimś czasie wstąpiłam do ZWZ AK. A w 1942 roku aresztowano mnie i wysłano do obozu w Stutthofie. Byłam tam do samego końca, do wyzwolenia w kwietniu 1945 roku. Przeżyłam marsz śmierci, przesłuchania, bicia, choroby i straszny głód, ale nigdy się nie załamalam. Pomogły mi w tym silna wola, zasady wyniesione z domu rodzinnego, harcerskie wychowanie i wiara w Boga. Codziennie trzeba było ten maleńki kawałek chleba, który dostawałyśmy, dzielić na kolację i zostawić część na śniadanie. Głód był wieki, a głód bardzo boli – wiem, jak ciężko było z nim żyć. My, harcerki, a było nas kilkadziesiąt, w obozie opiekowałyśmy się tymi, które się załamywały. W ukryciu śpiewałyśmy pieśni polskie, piosenki harcerskie, opowiadałyśmy budujące historie, wspominałyśmy ważne chwile, obchodziłyśmy święta narodowe – wszystko oczywiście w ukryciu. Staraliśmy się stworzyć pewną namiastkę życia rodzinnego.

Po wojnie Elżbieta Szuca-Marcinkowska znów zamieszkała w Gdyni. Powróciła też do nauczycielstwa. Swojego męża poznała w 1946 roku, rok później wyszła za mąż. W 1948 roku urodziła syna – dziś inżyniera z doktoratem – a trzy lata później córkę, która obecnie jest inżynierem w Porcie Gdynia. Ma czworo wnucząt: dwóch wnuków i dwie wnuczki. Od ponad 40 lat jest wdową i choć mieszka sama codziennie widuje się z rodziną. Tradycyjnie raz w tygodniu wszyscy zjeżdżają się na obiad do babci Eli, który – oczywiście – przygotowuje ona sama. Energia i chęci sprawiają, że często piecze też różne słodkie smakołyki dla najbliższych.

Pani Elżbieta wciąż tak samo mocno kocha Gdynię i cały swój kraj. I tylko czasem smutnieje, kiedy powracają wspomnienia tamtych mrocznych czasów i tragicznych zdarzeń...